

Budowlaniec – pisarz – poeta

Z Ryszardem Owsianym rozmawia Liliana Serafin

W poprzednim numerze „Biuletynu” ukazał się wiersz członka naszej PDK OIIB w Rzeszowie Ryszarda Owsianego „Powiedz mi dziadziu”. Pan Ryszard z zawodu budowlaniec, autor kilku utworów prozatorskich i wierszowanych, społecznik, działacz kultury. Dziś przedstawiamy szerzej sylwetkę autora.

– Jest Pan autorem 4 książek – zbiorów opowiadań: „Smuga człowieka”, „Istota miejsca”, „Drogi nadziei”, „Dwie rzeki i most”. Pierwsze trzy pozycje to opowiadania, w których zostały zebrane Pana wspomnienia od czasów dzieciństwa poprzez młodość aż do wieku dojrzałego. „Dwie rzeki i most” to zbiór opowiadań o wydarzeniach historycznych, mających miejsce w Lesku i okolicach Bieszczad. Zaczniemy od pierwszych wspomnień – czas dzieciństwa. Dzisiaj często słyszymy, że dzieci są przemęczone nauką, mają mało czasu dla siebie. A jak wyglądało w latach 50. codzienne życie małego chłopca we wsi Izdebki k. Brzozowa?

– Jestem najstarszym dzieckiem z 9 rodzeństwa. Zostałem wychowany w bardzo trudnych warunkach dla kraju i społeczeństwa przez rodziców. W zasadzie jako 11-osobowa rodzina (dzieci, rodzice i babcia) mieliśmy trochę szczęścia, bo chleb nie był zamykany. Żywności tak bardzo nie brakowało ale było bardzo ubogo nie tylko po zakończeniu II wojny światowej, ale nawet w latach 60. i 70. XX wieku. Bieda była wszechobecna, głucho, ciemno, zimno, nieśmiertelne błoto, duże wymagania stawiane przez rodziców, co oczywiście miało na celu przystosować nas do ówczesnego życia, ale także pomóc poprzez wkład pracy dziecięcej w konsolidację rodziny, a na pewno utrzymaniu jej przy życiu.

Pamiętam do dziś zdarzenie, które mocno przeżyłem – to aresztowanie ojca za przynależność do partyzantki WiN AK. Jak przez mgłę przypominam sobie, że bardzo płakałem, a na drodze przed domem stał jakiś dziwny pojazd, dziś wiem, że był koloru czarnego i cały z blachy. Tato „wywczasował” się 1 miesiąc w piwnicy Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Brzozowie, gdzie był bardzo solidnie bity. Mama nosiła mu pieszo, 17 km w jedną stronę czyste ubranie i jedzenie. Z uwagi na ciężkie warunki rodzinne, wilgoć, brak opału, zapadłem na powszechny wówczas koklusz, co skończyło się po kilku miesiącach zmianami w płucach i ciężkim stanem zapalnym. Babcie i dziadkowie kiwali głowami i mówili do mamy „Zośka, on umrze”. Przypomniano sobie, że babcia ma siostrę, która po powrocie z przymusowych robót w Niemczech wyjechała do Kanady i poproszono ją o pilne przysłanie zastrzyka penicyliny. Po 30-40 dniach lek otrzymał ojciec i w nocy, w zimie przy ogromnych zaspach śniegu, para najlepszych koni ciągnęła sanie przez 17 km do szpitala w Brzozowie. Zadyma była straszna. Pamiętam coś białego na ścianach, białe żelazne łóżko i 2 osoby personelu. Penicylina uratowała mi życie choć płuca mam z licznymi ubytkami niczym po gruźlicy.

Ojciec był krawcem, szył dniami i nocami skromne odzienie dla bliższych i dalszych mieszkańców, nawet z oddalonych 10-15 km wsi i miasteczek. Pamiętam, jak szył mundury dla milicjantów na przemian z szatami dla księży. Najwięcej było zamówień na tzw. „przenicowanie” ubrań czyli rozprucie starej marynarki czy płaszcza i uszycie od nowa, ale z nowym licem z odwrotnej strony materiału. Wtedy można to było zrobić, bo produkowany w Bielsku-Białej materiał był doskonałego gatunku.

Nie było prądu, wodociągu, węgla. W prywatnym sklepie mieszczącym się w małej komórcie była sól, nafta, cukierki w blaszanych puszkach, marmolada, czasami smalec i konserwy rybne, papierosy i przybory szklone (zeszyty, atrament, pióra, ołówki, gumki). Dom, w którym

mieszkaliśmy był drewniany, ale kryty blachą płaską. Była duża kuchnia z piecem chlebowym, 3 łózkami drewnianymi, duży stół dla potrzeb ojca i maszyna do szycia. W tym pomieszczeniu było klepisko, ale już w drugiej izbie była podłoga i piec murowany z kamienia, który zawsze był ciepły. Tu stały kolejne 2 duże łóżka i szafa 3-drzwiowa. Dom oświetlaliśmy 2 lampami naftowymi. Jedną miał ojciec przy maszynie do szycia, a druga wisiała na tragarzu pod sufitem.

Pośrodku domu mieściła się sień, a z niej dwa wejścia. Jedno prowadziło do komory, gdzie stały żarna na korbę ręczną oraz worki i skrzynie na ziarno, drugie – do stajni, gdzie przebywały 2 krowy i kury. Oczywiście smród i muchy były normalnością, a wyprowadzając krowy i wypuszczając kury zostawiało się w sieni „nawóz naturalny”.

Jadłospis codzienny to: czarny, żarnowy chleb, mleko, ugotowana kapusta, ugotowane ziemniaki, niekiedy kasza, rzadko barszcz czerwony z dodatkiem białego sera. Dosłownie wszystko „oganiano” chlebem posypanym cukrem i polanym wodą.

Obok domu została wybudowana murowana, kamienna piwnica zwana „sklepem”, gdzie były przetrzymywane ziemniaki, buraki, brukiew. Jabłka były przetrzymywane w sianie, zagrzebane na strychu, a niekiedy kiszzone razem z kapustą w beczce. Mięso było absolutnym wyjątkiem, a najczęściej gospodarz hodował wieprzka, który po zabiciu dzielono na 4 części, po 20-25 kg na święta Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy. Z tzw. kupowanego w sklepie „podpiwka” robiono w butelkach piwo bezalkoholowe.

Bardzo wcześnie rano należało krowy wyprowadzić na pastwisko. Nie było możliwości wypuszczenie krów luzem tylko i wyłącznie trzymanie ich na powrozach. Później – szybko do szkoły 2 km w jedną stronę po super błotnistej drodze, zimą zupełnie nieodśnieżanej. Droga była tak tragiczna, że ciągnik Ursus z przyczepą, na której dowoził towar do sklepu, ledwie przebijał się przez zapadliska. Wszystko wożono końmi lub krowami, na które była nakładana specjalna uprząż. Krowy były słabe i bardzo powolne. Na szczęście mało chodziłem boso do szkoły albo do kościoła, ponieważ byłem najstarszy, a moje buty były potem wykorzystywane przez młodsze rodzeństwo. Podobnie było z ubraniami i szkolnymi podręcznikami.

Zawsze na pierwszym miejscu stawiano pomoc w gospodarstwie. Szczególnie perfekcyjnie dbano o zwierzęta – żywicieli, o plony, o pole, o pastwisko. Wszystkie kłosa na ściernisku były pozbierane, a ziemniaki wykopane bardzo dokładnie.

Zbieranie grzybów w lesie było jednym z najprzyjemniejszych obowiązków i traktowane było jak zawody „kto zbierze więcej”.

– Jak wyglądała szkoła, jakie były warunki lokalowe, metody nauczania i wychowania w tym dopuszczalne w tamtych czasach kary cielesne?

– Szkoła to przerobiony dom drewniany z dobudowanym gankiem, schodami. dzwonkiem na wzór „sygnaturki” w kościele. Dzwonek był w specjalnej konstrukcji w postaci wiatki z drutem do pociągania z podłogi ganku. 2 duże sale o powierzchni chyba po 50 m², to klasy, korytarz i mała salka boczna dla nauczycieli – to warunki lokalowe szkoły. W części ogrodowej, w małym pokoju z kuchnią mieszkał dyrektor szkoły z matką, która gotowała kawę i rozdawała dzieciom pajdy chleba posmarowane marmoladą. Później w tej małej salce urządzono klasę. Nauczyciele podczas przerwy siedzieli w kuchni u dyrektora. Nauczyciele to 3 osoby + dyrektor. Były to osoby pochodzące ze wsi – synowie i córki miejscowych, którzy ukończyli kurs nauczycielski, a potem Studium Nauczycielskie. Każdy z nauczycieli prowadził lekcje jakie mu przydzielono, bez specjalizacji. Pisaliśmy stalowymi piórami w obsadce i atramentem. W klasach znajdowały się tablice i mapy. W szafie przeszklonej było dużo książek bardzo bogato oprawionych, ze złotymi literami i napisami „LENIN”, „STALIN”. Wisiały portrety przeróżnych wodzów z wąsami, medalami. Później przychodził ksiądz i odbywały się lekcje religii. Nauczyciele przyjeżdżali przeważnie rowerami z domów rodzinnych.

W szkole na korytarzu był beton, a w salach – podłoga z drewna napuszczana chyba ropą, bo bardzo śmierdziała. Gimnastyka odbywała się na korytarzu albo na podwórzu. Ubikacja to ustęp – latryna z desek, jedna dla nauczycieli i jedna dla dzieci. Nie było wodociągu ani prądu. Prąd zaczęto wprowadzać po 1956 r. kiedy to oporna wieś Izdebki zdecydowała się, z przymusu władz, utworzyć Rolniczą Spółdzielnię Produkcyjną. Spółdzielnia padła dość szybko, ale prąd pozostał.

Nauczyciele musieli być uniwersalni, przy czym ich stan wiedzy był dość ograniczony. Uczniowie musieli nadrabiać pilnością i samonauką z tego, co mieli zadane i to przy lampie naftowej. Gazety natury rolniczo-ludowej rozprawdzał listonosz – niekiedy za darmo.

W zasadzie nie stosowano w szkole bicia, ale linijka po palcach była jednak od czasu do czasu w użyciu. Najczęściej było początkowo klęczenie w kącie, a potem stanie w kącie sali. Pamiętam tylko raz jak nauczyciel bardzo się zdenerwował i stłukł nas po głowach – 4 chłopców, ponieważ nie uważaliśmy na lekcji. Najczęściej kij był używany w zakrystii kościoła, gdzie ksiądz od czasu do czasu pomagał zrozumieć katechizm przy pomocy kija. Wywiadówki szkoła organizowała, ale praca w gospodarstwie i w polu była ważniejsza.

Pamiętam jak w klasie chyba 6 lub 7 (był 1957-58 rok) przyjechał do szkoły wizytator i badał wiedzę dzieci oraz zadawał pytania z zakresu wiedzy natury postępowej i cywilizacyjnej. Jako jedyny odpowiedziałem na 2 pytania z 3 zadanych, co wywołało wielkie zdziwienie i bardzo dobry protokół pokontrolny dla dyrektora. Dzisiaj są zupełnie inne realia niż w latach 50. czy 60.

Rola rodziców była zasadnicza: wychowanie przez pracę, posłuszeństwo, poszanowanie starszych, a nauczyciel i ksiądz byli jako absolutny wzorzec do naśladowania. Pamiętam, że do osób starszych mówiło się tylko przez „Wy”, a księdza i osoby krewne, na powitanie i pożegnanie, zwłaszcza starsze, należało obowiązkowo całować w rękę.

– Jak zmieniła się wieś na przestrzeni Pańskiego życia – infrastruktura, budownictwo?

– Wieś, w której się urodziłem i mieszkalem do 14 roku życia to 1250 domów oraz ok. 6-7 tys. osób, dosłownie 99,9% zajmujących się rolnictwem dla samozaopatrzenia się w produkty żywnościowe oraz oddawania tzw. „kontyngentu”. Ponieważ Polska była w ruinie należało wyżywić ludność miast oraz przy okazji przeróżnych „utrwalaczy” władzy, utrzymano wprowadzony wcześniej przez Niemców „kontyngent”. Chłop mógł niewiele – sprzedać lub zastosować rodzaj barteru, bo większość musiał zdać „dla państwa”. Owszem coś tam płacono, ale pamiętam jak wieczorami zbierali się u ojca sąsiedzi i myśleli, jak zdać kontyngent, co za co zamienić, co kupić, za co zapłacić, by tylko nie podpaść, bo kary były porządnie dolegliwe.

Z 1250 domów około 5% było w stanie technicznym właściwym tzn.: dachy kryte blachą, domy na podmurówce, stajnie i stodoły były oddzielnymi obiektami. Reszta domów to ściany z drewna – bale iglaste uszczelniane mchem na skromnej podwalinie z miejscowych kamieni. Okna skrzynkowe bardzo szczelne, bo zamykane na tzw. „rapsztangi” zapożyczone od Austriaków. Szkoda, że rapsztangi nie stosuje się do dzisiaj. Do okien wkładano słomę, siano dla uszczelnienia ościeżnicy, a zewnętrzne ściany były na zimę okładane wiązkami słomy, liści, badyli do wysokości okien. Wszystko było naturalne i ekologiczne. Około 150-200 domów było w bardzo złym stanie technicznym. Ponieważ co najmniej 1000 domów było krytych strzechą często wybuchały pożary.

Wodę nosiło się ze strumienia albo specjalnie wykopanych dołków, gdzie zbierała się woda źródłana. Ubikacje to 100% tzw. „wygódki” przy przymie obornika. W piecach palono wszystkim, co możliwe. Oczywiście nikt nie słyszał o lodówkach, kuchenkach gazowych czy zlewozmywakach nie mówiąc już o telewizorze. Radio na tzw. „kryształek” i słuchawki było na 1-300 domów. Po uzyskaniu prądu radioodbiorniki miał co 200-300 gospodarz. Po roku 1960 było we wsi ok. 50 odbiorników radiowych i ok. 15 telewizorów czarno-białych. Był

zwyczaj zbiorowego słuchania „Matysiaków”, „Wędrówek muzycznych po kraju” czy np. E. Ciukszy.

Droga przez wieś, zwana gościńcem, była w zasadzie gruntowa, ogromnie zabłocona, bez utwardzenia kamieniami czy żwirem. Wszystko na drodze tonęło w gigantycznych brzdach. Pamiętam jak w 1960 r. w ogromnej dziurze stał zepsuty samochód ZiS-5 z okresu wojny, bo nie było możliwości wyciągnięcia go z błota.

Każda rodzina musiała być samowystarczalna żywnościowo, przy czym nadwyżkę mleka można było zanieść do zlewni mleka, za pieniądze płacone po miesiącu. W latach 1955-1960 przeprowadzono elektryfikację pozostałych miejscowości ponieważ pierwszeństwo miały miasta przemysłowe, obiekty obronne osiedla itp. Ciemnota na wsi była straszna. Większość ludzi nie chciała „elektryki”, bo to diabelski wymysł, choroby, pioruny i wszelka inna gangrena. Władza zmuszała, aby każdy miał 1 żarówkę w pokoju mieszkalnym i 1 żarówkę w stajni – to było minimum. Nic nie pomagało, ludzie co najmniej przez 10-15 lat wegetowali w domach przy lampach naftowych lub świeczkach. Niestety taka była prawda i to pokolenie musiało wyrzucić. Ojca uznano za dziwaka bo zamówił 5 żarówek, gniazdo siłowe 3-fazowe 380 Volt do silnika elektrycznego. Sam mówił, że przekonał się do prądu w Rzeszowie na Zamku – w więzieniu.

– A zwyczaje i sposób spędzania wolnego czasu?

Wolnego czasu w zasadzie ludzie nie mieli, nie licząc wyjścia do kościoła, a czasem do kina objazdowego. Była za to ciężka praca, troska o krowy, pole, ziemniaki, zboże. Ciele było darem niczym milion w totolotka i zapowiedzią dochowania się kolejnej krowy mlecznej.

Zwyczaje na wsi – to tak jak wszędzie: Boże Narodzenie – choinka wieszana w wielu domach pod sufitem. Pamiętam 12-15 wigilii kolejno u bliższych i dalszych krewnych. Oczywiście chodziło się po tzw. „szczodrakach” albo „Cyganach” z życzeniami i kołędami.

Był jeden zwyczaj, którego nie potrafiłem potwierdzić nigdzie indziej. Chodzi o tzw. „prochy” lub „śmiecie”. W Boże Narodzenie kawaler, który miał zamiar ożenić się z dziewczyną zbierał kolegów i wpadali znienacka do domu wybranki, by sprawdzić czy utrzymuje porządek i czystość w domu i zagrodzie. Szukali jakiegoś śmiecia, by zawstydzić dziewczynę. O ile nic nie znaleźli, bo owe dziewczyny były na to przygotowane, zabierali wiązkę słomy, rozciągali po podwórzu i po izbie wyśmiewając dziewczynę, że nie nadaje się na żonę i gospodynię. Przy drodze obok zabudowań palono ową słomę jako dowód, że znaleziono „śmiecie”. Od wielkości ogniska było wiadomo, że kawaler ma poważne zamiary jeśli ognisko było duże albo raczej niewielką ochotę na ożenek, jeśli ognisko było małe.

Specyficzną formą z okazji ślubu i wyjazdu furmanką do kościoła było wyrzucanie „szyszek” czyli poczęstunku z pieczonego twardego ciasta w formie „rogatych pączków” lub „rogatych minibułek” wszystkim, którzy obserwowali przy drodze ślubny orszak. Czynność tę pełniła tzw. „swaszka”.

Na Wielkanoc było tradycyjne lanie wodą oraz strzelanie z karbidu. Świącono również pola po poświęceniu wody i ognia. Wielkanocne święcenie pokarmów było bardzo przestrzegane. Pamiętam, jak idąc z koszyczkiem wpadłem do dziury z błotem i wysypałem pisanki. Mama pozbierała pisanki, a ja za karę stałem za stodołą, a ksiądz święcił na podwórzu.

Zdarzało się, że od czasu do czasu młodzi organizowali tzw. „muzykę”. „Muzyka” to zbieranie się w domu, częściej w stodole, kapeli z miejscowych grajków, którzy przygrywali do tańca „polki w lewą stronę”. Kawalerowie „cupkali” butami typu oficerki, kurz unosił się z plew i słomy, ciemno było, bo prądu brak tylko 1 mizerna lampa, bo bano się, aby stodoła się nie spaliła.

Oczywiście obowiązkowe były udział w uroczystościach religijnych, gdzie po sumie sołtys na schodach wejściowych do kościoła przekazywał różne ogłoszenia rządowe czy informacje

władz powiatowych i gminnych, najczęściej dot. podatków, polecenia szukania stonki ziemniaczanej, czy innych psikusów zsyłanych przez imperialistów USA i rewizjonistów zachodnioniemieckich.

– W 1965 r. ukończył Pan Państwowe Szkoły Budownictwa i Technikum Budowlane w Rzeszowie. Jak wyglądała Pana pierwsza praca?

– W 1959 r. opuściłem wieś i zostałem przez ojca przywieziony do Rzeszowa, do Szkoły Budowlanej, ponieważ taką szkołę wybrał dla mnie dyrektor szkoły podstawowej. Czy wykazywałem zainteresowania w tym zakresie? Raczej nie, bo nikt o tym nie wspominał, jedynie babcia chciała, abym został księdzem. Szkoła była wyjątkowa pod każdym względem. Uczyć chciała i mogła bardzo potrzebnego wówczas zawodu zwłaszcza, że Rzeszów, zostając stolicą województwa, chciał koniecznie wydźwignąć się ze stereotypu prowincjonalnego, pożydowskiego, biednego miasta. Muszę przyznać i będę bronił tej tezy, że kadra nauczycielska była wyjątkowo ofiarna, pracowita, umiała z wielką energią i sercem spowodować, że szkoła była prestiżowa, lubiana, a nawet podziwiana za osiągnięcia sportowe i wychowawcze oraz społeczne. Reprezentacja rzeszowskiej siatkówki, koszykówki, zapasów to byli uczniowie mojej szkoły. Nauczyciele zawodu potrafili i chcieli nauczyć uczniów sztuki budowlanej na wysokim poziomie.

Pierwsza praca sama mnie poszukała. Do szkoły zgłaszały się firmy, instytucje, a najwięcej wojsko. Pierwsza praca to mała firma budująca na wsiach wiejskie sklepy, bary, magazyny, ośrodki zdrowia, drobny przemysł, a raczej usługi, a nawet wiejskie domy towarowe. W Bieszczadach budowaliśmy „leśne gastronomie” pasáže handlowe, restauracje, kwatery dla turystyki i inne konieczne obiekty usługowe. Płace były marne, perspektywy raczej odległe lub żadne. Kolega namówił mnie do przejścia do dużej jak na owe czasy firmy budowlanej znanej z budowania osiedli, szkół, hoteli, pensjonatów, obiektów sportowych, dużych obiektów turystycznych oraz biurowców. I tak dostałem zakwaterowanie w hotelu robotniczym z centralnym ogrzewaniem i ciepłą wodą. Pensja wzrosła o 50% nie licząc rozłąki oraz dodatku bieszczadzkiego. Nagle wpadła kasa niemal dwukrotnie wyższa niż poprzednio. Ale niestety nic za darmo. Mając zaledwie 22 lata, samodzielnie jako starszy majster, prowadziłem budowę bloku dla 60 rodzin w Ustrzykach Dolnych. Wcześniej był okres przyjmowania placów budów pod budowę ogromnego kompleksu budynków i infrastruktury w Polańczyku. Pamiętam pierwsze polecenie – ma Pan samochód z kierowcą i przez 3 dni ma Pan znaleźć 80 robotników do rozpoczęcia budowy. Znalazłem owych robotników, a raczej chłopo-robotników, którzy uprzednio pracowali przy budowie zapory w Solinie i Myczkowcach.

Fakt faktem powstawały znamienite inwestycje w tym rejonie realizowane przez rzeszowskie firmy, tj. Przemysłówkę w Sanoku, Krośnie, Jarosławiu oraz drogowców rzeszowskich budujących obwodnicę pierwszą i drugą w Bieszczadach przy wydanej pomocy wojska. Samo wojsko z Jarosławia tzw. BIB rozpoczął budowę Ośrodka Wypoczynkowego „Jawor” w Jaworze k. Soliny. Obecnie być może kilka osób w województwie wie, że oba ośrodki „Polańczyk” i „Jawor” były budowane dla potrzeb wojennych. Strategia przewidywała, że wojna obejmie Polskę Niemcy, Włochy i kraje Beneluksu, a ranni z tego frontu mają być transportowani do Przemyśla do szpitala, natomiast rehabilitacja ma być w tych ośrodkach i z nich ponownie na front – iść mieli ozdrowieńcy.

Po jakimś czasie zacząłem szukać firmy, która dawała nadzieję na mieszkanie. Po 11 latach otrzymałem M-3 w nowo budowanym bloku w Lesku. Oczywiście nie było chodników, dróg, zieleni za to był krajobraz księżycowy i błoto. Na szczęście były pozostawione płyty drogowe i nasyp utwardzony po żurawiu wieżowym.

– Jak wyglądała Pana pierwsza praca po uzyskaniu w 1973 r. uprawnień budowlanych?

– Fakt otrzymania uprawnień w 1973 r. nie miał jakiegoś bardzo istotnego znaczenia, ponieważ czy dany delikwent miał uprawnienia, czy nie posiadał uprawnień, nie było tak istotnej różnicy. Liczyła się opinia o majstrze, kierowniku, inspektorze nadzoru.

Dopiero, praktycznie, po 1995 r. zaczęto stawiać nacisk na fakt czy masz, czy nie masz uprawnień. Drugi fakt – z dwóch branżowych uprawnień powstało chyba osiem i wątpię czy jest to konieczne. Aby wykonać zwykły przepust musi być drogowiec z grupą uprawnień BD co jest nieco śmieszne. Niemcy zupełnie inaczej rozwiązyali sprawę kierowania budowlami i nadzorem. Podobnie inni sąsiedzi. Zapraszałem na Święto Budowlanych inżynierów z Ukrainy, z rejonu Drohobycza, Sambora, Stryja i Borysławia. Wiele ich w naszym budownictwie szokowało, że doszliśmy tak daleko, ale w znajomości urządzeń hydroforni, kotłowni, wentylatorni, wymienników ciepła, klimatyzacji, czy dźwigów osobowych byli dobrzy.

Widziałem i doświadczyłem budownictwa w NRD, Czechosłowacji, na Węgrzech i w ZSRR i muszę powiedzieć, że poziom wiedzy był podobny, a niejednokrotnie byliśmy lepsi.

– Proszę podzielić się z naszymi Czytelnikami najzabawniejszymi wspomnieniami z pracy na budowie z czasu, jak Pan to nazywa „radosnej twórczości okresu słusznie minionego”.

– „Radosna twórczość” w budownictwie, a w szczególności w różnych okresach lat 50. do 90. czy obecnych, była i zawsze będzie. Dla mnie „radosna twórczość” to głupie decyzje, udowadnianie przez różnych decydentów, w tym politycznych, że się zna na budownictwie, architekturze, czy urbanistyce. Taka twórczość ujawniała się także w budownictwie sakralnym, gdzie projektowano świątynie jako rozwinięte sztandary, absolutne pomieszczenie wizji, stylów, całkowite nieuctwo. Proszę sobie wyobrazić – stylowa, XVII-XVIII-wieczna cerkiew w stylu typowo bizantyjskim przerobiona na siłę pod wodzą jakiegoś proboszcza na grecką świątynię obstawianą kolumnami gotyckimi, a nawet jońskimi oraz z elementami sakralnego budownictwa staroegipskiego. Powszechnie popularne „budowlane potwory” będą stały latami i świadczyły, że my budowlani ulegamy zachciankom marnych inwestorów. „Radosna twórczość” w tamtym okresie to kilka bardzo drażliwych i szkodliwych decyzji spowodowanych przez polityków, a lepiej zwyczajnych „buraków” intelektualnych. Typowy przykład – rolnictwo wielkoprzemysłowe: ферmy na wzór włoskich owczarni – tragiczne rozwiązania termiczne, tragiczne zimno, przymarzanie do betonu zwierząt, lokalizowanie stanowisk na zbiornikach gnojowicy i tragiczne ilości gazów z gnojowicy. Biedne zwierzęta padały, wysokie szczyty dachów gromadziły ciepło, stanowiska na posadzkach ażurowych w postaci rusztów z profili PCV, brak ściółki, brak ruchu zwierząt, choroby, padnięcia – tysiącami. Co gorsze zwierzętami tymi mieli opiekować się więźniowie, wojsko lub inni z ludzkiego demobilu. Powszechne kradzieże, sprzedaż i ubój „na lewo”, marnotrawstwo pasz i nawozów. Traktorzysta wyjeżdżał w pole z kilkoma tonami nawozu by zasilić uprawy. Najczęściej wysypywał nawóz byle gdzie, by tylko nikt nie widział, część sprzedawał za wódkę. Krowy wypasane na łąkach spożywały nawóz i padały całymi dziesiątkami.

Niewyobrażalne koszty poniosło państwo PRL z tytułu eksperymentu „Igloopol” i Zakładów Karnych poprzez tzw. „PP Role” czyli wojsko w postaci Jednostek Nadwiślańskich. Budowanie w systemie kanadyjskim czy skandynawskim różnych obiektów usługowych, mieszkalnych, szkół, przedszkoli to zwyczajny sabotaż i gigantyczne marnotrawstwo, za które do dzisiaj nikt nie odpowiada. Konstrukcje z krawędziaków, wewnątrz wełna mineralna, od zewnątrz eternit, od wewnątrz płyta pilśniowa to typowy element ścienny, gdzie było wszystko, co mógł człowiek wymyślić i wykonać drugiemu człowiekowi, w tym dzieciom. Powszechny eternit na dachy i ściany, rury wodociągowe azbestowo-cementowe, bloczki ścienne, które aż świeciły składnikami radioaktywnymi.

W miejscowości, w której mieszkam budowano basen w wykopie. Ściany wyłożono żelbetonem, dno podobnie, izolacja bardzo słaba. Spuszczano wodę na zimę, ale żelbet przez kilka miesięcy był nasiąknięty wodą, a woda ponadto penetrowała od zewnątrz. Zwiększając objętość woda zmieniała się w lód rozsadzając ściany i dno. Obiekt po kilku latach był kompletną ruiną. Niektórzy bronili się niezwykle ciekawym sposobem – nie spuszczały wody na zimę tylko umieszczali na tafli wody dziesiątki starych opon samochodowych, które dzieliły lód nie pozwalając mu rozpychać i niszczyć ściany. Na wyjątkowo sprytny sposób wykorzystania tak zmarnowanego basenu wpadły władze Ustrzyk Dolnych i po zasypaniu go powstały fundamenty pod supermarket „Biedronka”.

Można podawać setki podobnych przypadków z różnych branż i obiektów. Na szczęście to się teraz zmienia.

– W 2009 r. był Pan inicjatorem Leskiej Wiechy Budowniczych – spotkania przedstawicieli różnych zawodów budowlanych, zajmujący się profesjonalnie budownictwem w powiecie leskim oraz osób, które poświęciły budownictwu czas swojej aktywności zawodowej. Te coroczne spotkania z okazji Święta Budowlanych trwają do dziś (oczywiście z przerwą spowodowaną pandemią). Rodzina, praca zawodowa, działalność społeczna, rozległe zainteresowania (historia, batalistyka, religioznawstwo) – a jednocześnie Pan pisze – „u schyłku życia choć mam wiedzy różnej wiele nie potrafię nawet próbować się okłamać, by uznać, że wiem jak żyć”. („Jak żyć” ze zbioru „Drogi nadziei”). Na zakończenie proszę spróbować powiedzieć, co wg Pana jest w życiu najważniejsze?

– To fakt, że w życiu zrobiłem dużo dobrego, na pewno mniej niż złego, ponieważ ojciec nauczył mnie podstawowych zasad dobrego życia. Zasady te to: nie bój się pracy, szanuj świat natury, szanuj starszych i ich słuchaj, kieruj się rozumem, a nie emocjami i gadaniem, staraj się być użytecznym, rób tak, aby nikt nie narzekał na ciebie.

Zorganizowałem wiele działań na rzecz środowiska i mieszkańców. Mam garniec medali. Medale nie są istotne. Zazwyczaj starałem się być w drugim szeregu, nie mam daru przemawiania do tłumów, wolę słowo pisane, ponieważ „pisanie świadczy” o mnie przez lata, mówi o mnie, nie ocenia. Słowa wypowiedziane są ulotne, jutro ich już nie ma, są inne, nikt lub prawie nikt ich nie pamięta, a często bywają przekręcone. Byłem ławnikiem, korespondentem prasy, radia i telewizji, badałem nastroje ludności, byłem kuratorem sądowym. Byłem również ratownikiem drogowym PZM-tu. Założyłem koła i stowarzyszenia dla emerytów, rezerwistów, jak ja nazywam „leśnych dziadków”. Mam odznaczenia od dzieci w postaci „przyjaciół dziecka”. Działałem długo w Radach Narodowych, Samorządach Mieszkańców, byłem instruktorem Obrony Cywilnej. Jako pierwszy założyłem doradztwo ekonomiczno-finansowe po zmianie ustroju. Byłem organizatorem Towarzystwa PTTK. Ostatnio przy pomocy kolegów założyliśmy dla szpitala Fundację i mamy już 1% odpisu podatkowego.

Obecnie bardzo chętnie biorę udział w pracach klubów byłych wojskowych emerytów, chociaż nie służyłem w wojsku ale „odpracowałem” wojsko w służbach więziennych jako cywil. W Wydziale Kwatermistrzowskim pracowałem przez 4 lata. Pracę ze skazanymi wspominam z zadowoleniem, chociaż niekiedy nie było do śmiechu. Ukończyłem również kurs spadochronowy w Aeroklubie w Rzeszowie, ale ojciec wybił mi z głowy skoki ze spadochronem.

Obecnie piszę piątą książkę (mam już 55 stron), która będzie nosiła tytuł „Kody małego miasta”. Uważam, że małe miasta są zupełnie inne, ale mają jedną wspólną cechę niezależnie od położenia geograficznego. Cecha ta to: „wielka smuta małego miasta”.

Napisałem wiersz pod takim tytułem. Jest to analiza i próba rozrachunku z życiem, jego sensem w miejscu i czasie. Napisałem dwa wiersze pod tytułem „Powiedz mi dziadziu, ty wszystko wiesz” nr 1 i nr 2. Pierwszy mówi o postawie etyczno-moralnej, a ponadto nawiązuje do religii, a dokładniej jej wyobrażenia. Drugi mówi o aspektach społecznych człowieka w tym miejscu, czasie, warunkach, oddziaływaniu tych aspektów, roli i posłannictwa jednostki, która zdaje sobie sprawę czym i kim ostatecznie jest, czym będzie, skąd przyszła i dokąd podąża.

Szósta moja książka będzie miała tytuł „Kazania własne do siebie” – jest to bardzo trudne, ale mam 1900 zł emerytury, 20-letni samochód, 2 wnusie i dach nad głową.

– Dziękuję za rozmowę i mam nadzieję, że ta szósta książka nie będzie ostatnią.